

# OBIAD W SULEJÓWKU

*Manuskrypt tej relacji z rozmów w Sulejówku znajduje się w moim posiadaniu. Autorką jej jest osoba dobrze mi znana, uczestniczka walk pierwszej brygady.*

MICHAŁ SOKOLNICKI

Podano obiad. Dziewczątka miały nakryte osobno, przy stole my czworo sami. Nagle poczułam jakiś ciepły ciężar na kolanach — odkryłam zaraz, że jest to łeb dużego psa-wilczura, wpatrzony we mnie z zaufaniem.

— Ach, Dorek! — zawołał Komendant przyjaźnie, na co zagadnięty entuzjastycznie zamierzał ogonem. — Oczywiście! Proszę pani, to nie byle kto, to prawdziwy pies policyjny!\*) Całą książkę można by napisać o jego czynnościach tutejszych. Czy pani myśli, że on kiedy próżnuje? Że się bawi? O nie, to jest pies, który szuka zadania. On pojmuję życie poważnie. Kilka razy dziennie wpada do pokoju, najwidoczniej na inspekcję — węszy, rozgląda się, no i zawsze pozna, kiedy był ktoś obcy.

Bardzo mię to zaszczyca, że mnie wziął za obcą; dobrze on czuje, że ja tu nikomu krzywdy nie zrobię.

— On doskonale się orientuje, kogo ma pilnować — ciągnął Komendant. — Wie także, że ja zazwyczaj chodzę sobie koło domu od strony podjazdu; uważa to za normalne i biernie tylko mię obserwuje. Ale niechże kiedy wyjątkowo zacznę spacerować po drugiej stronie domu — oho! Mój Dorek pędzi z oznakami żywego niepokoju, mrucząc głośno, jakby mnie chciał ostrzec: „Nie chodź tam“. Wreszcie kładzie się, łeb opiera na łapach przy ziemi, z uszami nastroszonymi czujnie — i oczu nie odrywa ode mnie.

— Kochane psisko... Co on robi w nocy?

— Biega wokoło domu i też pilnuje.

— Ciekawam, co by on zrobił, gdyby się ktoś obcy próbował wtędy wdrzeć do domu? Narobiłby pewnie strasznego hałasu?

— Ach, gdzież tam! To tylko zwyczajne psy hałasują w takich wypadkach. Dorek podszedłby cichutko i złapał od przodu za gardło — gdyby napastnik już wchodził do domu... A gdyby dopiero się zbliżał, no, to by

A on odsunął się trochę z krzesłem i zmierzyl mię nagle ochłodzonymi oczyma, w których grały chochliki drwiny.

— A pani żal, że ja nie jestem królem? — zapytał zmienionym głosem, jakby surowym, a na połę śmiejącym.

Ten głos, to spojrzenie tak mię zmieszaly, że nie zdobywszy się na nic rozsądniejszego, z determinacją rąbnęłam:

— Tak jest!

A gdy się Komendant wyśmiał, zaczął ze mnie szdydzić:

— Dlaczego tak zrobiłem?...

Hm... To jest skomplikowana sprawa... Widzi pani, chciałem pokazać samemu sobie, że mimo wszystko jestem jeszcze małym Ziuczkiem. A zresztą, zrobiłem to właściwie dla Wandy i Jagódki! Bo niechno pani pomyśli, jak niepewnie stoją teraz wszystkie trony! Królowa... Cóż za pozycja w świecie? To gorzej niż loteria...

— No, tego mi już Komendant nie mówi, żeby w takiej sprawie kierował się względem na córki!

A on spojrzał na mnie znów rozjaśnionymi oczyma.

— Wie pani co?... Opowiem pani bajkę! — rzucił bez żadnego przejścia, powracając do swego dobrodusznego tonu, tak jakby w tej bajce znaleźć się miało rozwiązanie poruszanej kwestji.

Ach, ta bajka! Słuchałam jej przez dwie godziny, nie czując zupełnie, że czas upływa. Słuchała i Kadenacowna z drugiego końca stołu, opartą na rękach głowę wyciągając coraz dalej ku nam. A gdy Komendant zaczął opisywać smak i zapach leśnych malin, krzyknęła nagle:

— Mnie się zawsze tak chce tych malin, kiedy wujaszek o nich opowiada!

I prawda. Widziało się i czuło wprost namacalnie to wszystko, o czym mówił. A była długa i chwilami „straszna“ bajka dla małych dzieci, pełna ogromnych, futurystycznych obrazów, przeplatana zawołowanymi symbolami. Czy może w tych symbolach tała się odpowiedź na moje niedyskretne pytanie? Mimo usilnych domysłów nie zdołałam tego przeniknąć i do dzisiaj nie wiem, czy Komendant nie chciał po prostu tylko „zagadać“ mię tą bajką, aby odciągnąć od nie milego dlań tematu.

Był tam zawadiacki chłopczyk Mieczyk i wielki las pełen zwierzątek i dobry niedźwiedz „Mrumru“, lisek z piezoną ku-

## Najnowsza Historia Polski

raż w pyszczku, wilki tańczące „jak aniolki“ i dwa malutkie ptaszki imieniem „Czik-czirik“, których upierzenie opisywał nam przez kwadrans prawie, a wielkość odmierzał na palcach pod światło. Opowiadał nie tylko głosem, lecz gestami, uśmiechem, oczyma — tworząc żywe dzieło sztuki, coś pośredniego między powieścią a kracją sceniczną.

Był tam i biały orzeł, strasznie wychudzony, ale „syt chwały“, który zakrzywiał jeden pazur po drugim i mówił: „Dziękuję ci, Mieczyku!“ Były także dwie malutkie dziewczynki, odzywające się cienkimi głoskami: „Puk, puk w okieneczko“, i

Mamusia, która chodziła „tipu-tapu“ po domu. Ale największe wrażenie zrobiło na mnie to, że zły ludzie odkreślił Mieczykowi prawą rączkę i zakopali ją w wielkiej kupie śmieci... Niedługo ją odnalazł i z powrotem przykręcił, ale bajka urwała się jakoś bez zakończenia, a po niej nastąpiła druga o czterech doktorach i o dziewczynce, która „ni duża, ni mała, ni czarna ni biała — ot, taka sobie“.

Przy końcu dopiero dziewczynki przyszyły posłuchać. Głaszcząc ich główki, Komendant zastanawiał się, czy Jagoda pozostanie blondynką...

— A trzeba pani wiedzieć, że wszystkie miłości moje, aż do

ostatniej (uśmiech serdeczny ku żonie), obracały się wyłącznie od szatynek do brunetek. Blondynki nie istnieją dla mnie jako kobiety!

— Ach, to straszne! Mnie się zdawało, że blondynka to właśnie typ najbardziej kobiecy. Przecież najstojniejsze piękności...

— No tak, tak, ja nie przeczę... Bywały takie zlociste głowy, którymi się musiałem zachwycać jako esteta, ale jakoś nigdy mnie do takiej nie ciągnęło. Cóż robić!

Tymczasem Ola wypędziła nas do salonu, gdzie mrocznie było i chłodniej. Przytuliłam się do pieca, Komendant zajął miejsce na kanapie, a nieodstępna Kadenacowna siadła gdzieś z boku. Wiedziałam, że jest już późno, ale nie miałam odwagi patrzeć na zegarek. Słyszałam, że pociągi do Warszawy odchodzi do późnego wieczora — i liczyłam na to. Cóż miałam zresztą zrobić, skoro Komendant gwarzył wciąż z takim ożywieniem? W trakcie dalszej rozmowy wspominałam o widzianej wczoraj w teatrze „Warszawiance“, o marnie zagranej roli Chłopickiego. Zrobiłam przy tym uwagę, że właśnie on, uwielbiany tak bezkrytycznie, miał prawie wrogów, podczas gdy innych naszych wodzów, prawdziwie wielkich, szkalowano i zwalczano za życia.

— Widocznie zatem — konkludowałam — trzeba być zere-m, jak Chłopicki, aby mieć popularność tak niezmarłą.

— No, takim zere-m on znowu nie był — zaoponował Komendant. — Bądź co bądź on jeden w wojsku przeciwstawił się Konstantemu — i to mu pamiętano...

— Zbyt mała to chyba kwalifikacja na wodza — przerwałam.

— No, bez wątpienia, i nie twierdzę, aby Chłopicki był dobrym wodzem, ale miał swoje duże zalety. Jedną z nich była odwaga osobista, której znaczenia zresztą nie przeceniam. Od wodza żąda się czegoś więcej: odwagi wzięcia na siebie odpowiedzialności za losy wojska i losy kraju. W takich właśnie okolicznościach Napoleon wyraził się o kilku swych ulubionych generałach (m. in. Murat): „les lions des lions, ces braves des braves — ce sont des lâches...“

— Jestem pewna, że byłby to samo powiedział o Chłopickim,

gdyby był widział jego kampanię 1831 roku!

— Być może, a jednak Napoleon podobno cenil Chłopickiego. W czasie jednej z bitew, gdy osobiście był zagrożony, udał się pod osłonę tego właśnie pułku, którym dowodził Chłopicki. Samo to zaufanie niezapomnianego cesarza wystarczyło, aby Chłopickiego otoczyć specjalną aureolą.

— A przecie księcia Józefa, też napoleońskiego wyższego oficera, choć o tyle więcej był wart — a może właśnie dlatego — umiano u nas błotem obrzucać!

Komendant się rozśmiał:

— Ach, gdyby pani wiedziała, co Napoleon wygadywał o tym naszym księciu! Pewnego razu po prostu nazwał go głupim. Prawda, że on w ogóle nie był dla Polaków zbyt uprzejmy... Ale co do księcia Józefa, to może pani go znów przecenia. Miał on swój „point d'honneur“ — i to w nim jest piękne, ale poza tym...

Zaczęłam zawzięcie bronić ukochanego bohatera.

— Wszyscy ci nasi porozbiorowi wodzowie to była, między nami mówiąc, słabizna! We mnie dopiero Wilno dało Polsce człowieka naprawdę silnego!

Powiedział to tak lekkim tonem, że niepodobna się było zorientować, czy nie żartuje... A on już spowaźniał i pochylił nad mną swe groźnie namarszczone brwi.

— Pani! Co oni tam mieli za bajeczne sposobności w tych wszystkich kampaniach napoleońskich! Zostawiani na straży różnych nowych republik, czegoż to nie mogli byli dokazać dla polskiej sprawy, gdyby nie ta głupia, ślepa uległość wobec Napoleona! Oni się go ciągle pytali o rozkazy, wierzyli w jego łaskę, czekali nagrody za wierność, zamiast postawić go wobec faktów dokonanych, stać się sprzymierzeńcem mocnym samemu. Ten Dąbrowski, ten Dąbrowski, toż to nie taki! Ież razy kieszki mi się przewracaly po prostu, kiedy w te rzeczy studiowałam...

Tu głos mu zagrzmiał, choć przytlumiony, głuchą pasją:

— Ach, gdybym ja tam był wtedy!

— A ja znowu nieraz żalowałam, że Komendanta nie było w 1831, albo w 1794. Bo Kościuszko, to była chyba, mimo całej czystości charakteru, dość słaba



Pasjans. Rysował Z. Czermański (1931 r.)

nie odrywa od mnie.  
— Kochane psisko... Co on robi w nocy?

— Biega wokół domu i też pilnuje.

— Ciekawam, co by on zrobił, gdyby się ktoś obcy próbował wtedy wdrzeć do domu? Narobiłby pewnie straszego hałasu?

— Ach, gdzie tam! To tylko zwyczajne psy hałasują w takich wypadkach. Dorek podszełby cichutko i złapał od przodu za gardło — gdyby napastnik już wchodził do domu... A gdyby dopiero się zbliżał, no, to by zawiadomił kogo należy, także nie wydając głosu.

— Jak to „zawiadomił”? — wtrąciłam, udając naiwną. — Kogóż on zawiadomi, skoro dom pozamykany w nocy i wszystkie śpią?

Komendant spojrzął na mnie niedowierzająco, jakby myśli moje w tej chwili były dlań przeczczyste:

— A czy to o wariata trudno? — rzucił tonem wesołym. — Są tu takie wariaty, co łączą po nocy. Może pani sama się przekonac, czy tu łatwo podejść, gdy się ściemni... Otóż Dorek właśnie służy u tych wariatów i sam jest taki jak oni! Zaś ten drugi — wskazał na ciemny łeb, zaglądnąca zza uchylonych drzwi — to zwyczajne sobie psisko. Wpatrzony stale w niego jak w tęczę... Dorek jest dla niego ideałem!

Oba psy wybiegły w podskokach, odprowadzone okrzykami dzieci. Krótki dzień zimowy już się kończył; wniesiono niską naftową lampę, a pod jej łagodnym kręgiem świetnym stało się w tej wielkiej jadalni jeszcze zaciszniej i poufniej.

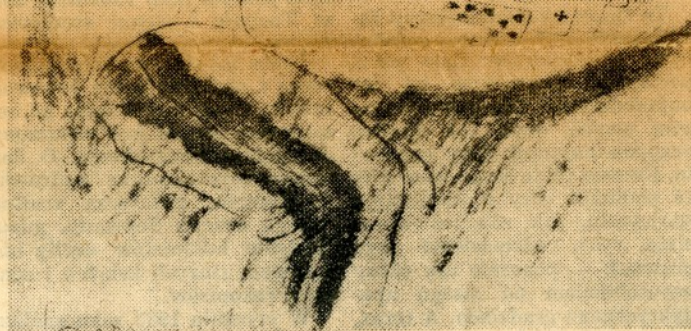
— Komendancie! — zaczęłam nieśmiało. — Ja bym chciała wrócić jeszcze do tych arystokratycznych podszeptów o koronie. Czy Komendant nie sądzi teraz, że to jednak może szkoda?

\*) Vide: „Poranek w Sulejówku”, „Tydzień Polski” nr. 4 z dnia 27 stycznia r.b.

\* Był potem, w 1928 w Warszawie, pies o tresurze policyjnej pełniący służbę bezpieczeństwa przy Komendancie.

chwila... „szona bajka dla małych dzieci pełna ogromnych, futurystycznych obrazów, przeplatana zawaolowanymi symbolami. Czy może w tych symbolach tała się odpowiedź na moje niedyskretne pytanie? Mimo usilnych domysłów nie zdołałam tego przeniknąć i do dzisiaj nie wiem, czy Komendant nie chciał po prostu tylko „zagadać” mi tę bajkę, aby odciągnąć od nie-miłego dlań tematu.

Był tam zawiadaczający chłopczyk Mieczek i wielki las pełen zwierzątek i dobry niedźwiedź „Mrumru”, lisek z pieczoną ku-



Pasjans. Rysował Z. Czernański (1931 r.)

twierdził, aby Chłopicki był dobrym wodzem, ale miał swoje duże zalety. Jedną z nich była odwaga osobista, której znaczenia zresztą nie przeceniam. Od woda żąda się czegoś więcej: odwagi wzięcia na siebie odpowiedzialności za losy wojska i losy kraju. W takich właśnie okolicznościach Napoleon wyraził się o kilku swych ulubionych generałach (m. in. Murat): „les lions des lions, ces braves des braves — ce sont des lâches...”

— Jestem pewna, że byłby to samo powiedział o Chłopickim,

wobec faktów dokonanych, stał się sprzymierzeńcem mocnym „samozwani” in. Ten Dąbrowski ten Polakowski, toż to nie są gi! Ież raży kieszki mi się przewracały po prostu, kiedym te rzeczy studiował...

Tu głos mu zagrzmiął, choć przytłumiony, głuchą pasją:

— Ach, gdybym ja tam był wtedy!

— A ja znowu nieraz żałowałam, że Komendanta nie było w 1831, albo w 1794. Bo Kościuszko, to była chyba, mimo całej czystości charakteru, dość słaba indywidualność...

— O nie! — obruszył się Komendant. — Właśnie on był najsilniejszy z tych naszych „wielkich”. Bo niechże pani nie myśli, że Ameryka tylko za „poczciwość” tak go ceniła. Żeby tam wśród obcych, dobić się takiego uznania, to trzeba było dużo wiedzy fachowej i charakteru. Jednym słowem był to ktoś, nie jakaś cnotka tylko. To teża, mocna dusza!

— A przecie Komendant ma męczniejszą — powiedziałam, bo tak mi się pomyślało właśnie.

I nie wiem, czy on to zrozumiał, że się jego widzę właśnie w „walce z Polską”, która za Kościuszką nie zdążyła jeszcze przywyknąć do niewoli i z ufnością oddawała się w ręce wodzowi insurekcji.

A potem zaczęliśmy mówić o 1863-im roku. Tu uważał Komendant za najsilniejszą indywidualność Jarosława Dąbrowskiego, aresztowanego niestety przed wybuchem, a zatem straconego dla powstania. Zachwycał się Organizacją Cywilną, przytaczał przykłady powszechnego posłuchu i wśród przeciwników, a nawet opodatkowania wojskowych rosyjskich! Ze śmiechem opowiadał, jak jakiś Moskal odnalazł skradzionego konia dopiero na interwencję władz narodowych...

— Olbrzymia była wówczas potęga zbiorowej woli polskiej i zupełnie poważnie spodziewano się wygranej. Dopiero po klęsce przypisano powstańcemu ruchowi beznadziejność od urodzenia... może dlatego, aby go więcej w opinii pognać.

## Książka o dziejach okrętu R.P. „ORZEŁ”

W. A. Kosianowski-Lorenz

W Polsce pojawiła się książka p.t. „Dzieje O.R.P. „ORZEŁ”, napisana przez znanego i zasłużonego pisarza-marynistę Jerzego Pertka.

Jerzy Pertek jest pisarzem, który zostawia innym grzebanie się w rzekomych brudach i w wyszukiwaniu błędów i rzekomej nieudolności Polaków działających pod znakami Rzeczypospolitej Polskiej na wygnaniu. Podobnie jak wydane niedawno na obczyźnie dzieło generała Maczka „Od podwoły do czołga” książka Jerzego Pertka jest utworem obiektywnym i krzepiącym na duchu

Pierwsze wydanie „Orla” ukazało się w Kraju w ilości 10.250 egzemplarzy i na pewno będzie niebawem rozbity, jak poprzednie książki Pertka. Pojawia się więc nowe wydania i szerokie rzesze czytelników w Polsce poznają jedną bohaterką epopei z „najnowszej historii Polski”

Trzeba powiedzieć, że w swoim czasie napisano dużo na temat szaleńczej eskapady „Orla”, który będąc internowany podstępnie w Tallinie w Estonii, pozbawiony uzbrojenia, map nawigacyjnych i t.p. zdołał uciec pod ostrzałem z portu i po kilkutygodniowej tułaczce po Bałtyku, pełnym już niemieckich okrętów wojennych, przedarł się przez niebezpieczne cieśniny duńskie na Morze Północne i za-

meldował się w W. Brytanii, gdzie stworzona już była zastępcza baza Polskiej Marynarki Wojennej. Stamtąd wypłynął na dalsze działania bojowe.

Pomimo licznych książek, artykułów, a nawet filmu o „Orle”, nie było dotąd relacji tak szczegółowej jak książka Pertka. Jest to naprawdę źródłowa praca, w której autor zebrał chyba wszystko, co można było ustalić w odniesieniu do okrętu spoczywającego od 20-tu lat na dnie morza i będącego stalową trumną dla całej jego załogi

Tak się złożyło, że posiadałem ostatni list, napisany do mnie

przez bohatera dowódcę okrętu, ś.p. komandora ppor. Jana Grudzińskiego. List ten był wysłany przed samym wyruszeniem „Orla” na ostatni, tragiczny patrol z którego już nie wrócił.

List ten okazał się nie tylko historyczną pamiątką wraz z załączoną wstążką z czapki marynarskiej z napisem „ORP „Orzeł”, ale stał się dokumentem ustalającym autorstwo mapy morskiej, odręcznie prawie z pamięci zrobionej przez oficera okrętowego podporucznika mar. Mokrskiego. (Dotąd był wymieniany przez pomyłkę inny ofi-

£ 20

\$ 57

BIURO PODRÓŻY

Międzynarodowej Linii Autobusowej

Prosimy zainteresowanych o jak najszybsze rezerwowanie miejsc

na zbliżający się sezon 1962.

Przyjmujemy zamówienia na przyjazdy z Kraju

W cenie biletu nocleg w hotelu w N.R.F.

Zalatywamy wszelkie formalności paszportowo-wizowe.

ANGLO-POLISH ENTERPRISES LTD.

292/4, Edgware Rd, London, W.2. Tel.: PAD. 7550

9751